

Marszałek bez wąsów

Podobno kiedy na początku lat pięćdziesiątych legendarny aktor, sędziwy już Ludwik Solski, spotkał się z ówczesnym polskim ministrem i wicepremierem, Konstantym Rokossowskim, miał mu powiedzieć (mniąc go z Józefem Piłsudskim): „ale z wąsami było lepiej panu marszałkowi”. O „marszałku dwóch narodów” (w roku 1976 Wydawnictwo MON opublikowało pod takim tytułem elegancki album poświęcony Rokossowskiemu) krążyło zresztą w PRL sporo dowcipów. Poza jednym („Dlaczego Stalin wysłał Rokossowskiego do Polski? Bo łatwiej jednego bolszewika przebrać w polski mundur niż całe wojsko polskie w mundury Armii Czerwonej”) nie znajdziemy ich jednak w najnowszej książce Borisa Sokołowa *Rokossowski*. Autor początkowo zajmował się głównie historią literatury rosyjskiej. Kiedy jednak w latach dziewięćdziesiątych można już było bez sztafażu polityczno-ideologicznego pisać o najnowszej historii Rosji i ZSRR, zasłynął opracowaniem sylwetek takich postaci, jak Władimir Lenin, Ławrientij Beria czy Leonid Breżniew.

Dlatego ze zdwojonym zainteresowaniem zabrałem się do czytania solidnego opracowania Sokołowa, poświęconego jednemu z najciekawszych dowódców Armii Czerwonej, owianemu legendą obrońcy Stalingradu oraz uwikłanemu w zaplątaną historię dwóch narodów i trzech armii – carskiej, sowieckiej i polskiej. Postać nietuzinkowa, wybitny dowódca i strateg, uwielbiany przez żołnierzy, równocześnie ofiara stalinowskiego terroru, która nigdy nie powiedziała o Stalinie krytycznego słowa. Dla Rosjan jest jednym z wielkich bohaterów II wojny światowej. To człowiek legenda, którego można porównać z największymi wodzami rosyjskimi, takimi jak Kutuzow czy Suworow. W jakim stopniu ten utrwalony portret znalazł potwierdzenie w książce Sokołowa?

Autor, na szczęście, nie opisuje swojego bohatera na klęczkach, dość skrupulatnie wytykając mu fałszerstwa autobiograficzne. Opublikowane bowiem w ZSRR, już po śmierci marszałka w roku 1968, jego wojenne wspomnienia nie tylko zawierały ingerencje cenzury państwowej, lecz także raziły licznymi niedopowiedzeniami, półprawdami czy autocenzurą. Oczywiście, dużą część takich interwencji da się – z perspektywy czasu – jakoś wytłumaczyć (Sokołow dotarł do pełnej wersji pamiętników), ale trudno uwierzyć, aby ze swoją wiedzą wojskową, historyczną i polityczną, już po śmierci Stalina, Rokossowski pisał w swoich pamiętnikach zupełnie serio, że w maju 1945 roku na terenach, z których Sowietci wyparli Niemców, „wszyscy zrozumieli, że żołnierza sowieckiego nie ma co się bać. On nie skrzywdzi”. Niemożliwe, żeby dowódca frontu nie miał wówczas jakiegokolwiek wiedzy o gwałtach, rozbojach i morderstwach, których się dopuszczali na podbitych terenach czerwonooarmięści. Niemożliwe też, że nic nie wiedział o mordzie na polskich oficerach w Katyniu.

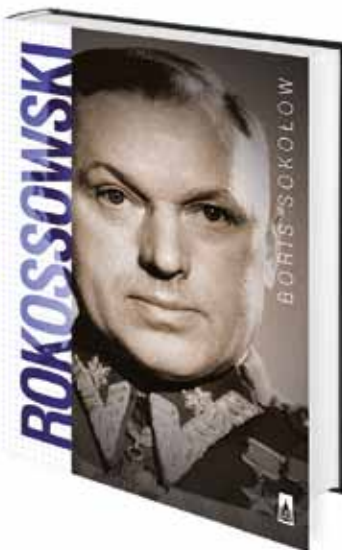
Dla Polaków Rokossowski jest z kolei symbolem dominacji sowieckiej i kaprysu Stalina, który postanowił wysłać do Polski swojego zaufanego człowieka, najpierw jako marszałka ZSRR i dowódcę stacjonujących w naszym

kraju wojsk Armii Czerwonej, aby kilka lat później rozkazał mu założyć mundur polskiego wojska i zostać jego dowódcą. To jedyny przypadek pełnienia tak wysokich funkcji w dwóch państwach jednocześnie. Rokossowski został polskim ministrem, wicepremierem oraz członkiem Biura Politycznego KC PZPR, ani na moment nie przestając być jednocześnie członkiem najwyższych władz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. I na pewno nie wynikało to tylko z tego, że – jak mówił gen. Wojciech Jaruzelski – „miał on dwie dusze: polską i rosyjską”. Sam Rokossowski zdawał sobie chyba sprawę z dwuznaczności swojej sytuacji, skoro żalił się jednemu z przyjaciół, że w Polsce nie czuje się dobrze, bo „trudno powiedzieć, żeby cały korpus oficerski polskich sił zbrojnych przyjął mnie ciepło”. Wspominał też (nieoficjalnie oczywiście), że nawet podczas wizytowania polskich wojsk zdarzały się niechętnie mu okrzyki: „Wracaj do Rosji!”, „Precz z czerwonym marszałkiem!”.

Dla polskich czytelników najciekawsze są fragmenty dotyczące polskich korzeni i rodzinnego dziedzictwa oraz lat 1945–1956, związanych z pobytem Rokossowskiego w naszym kraju. Niestety, te części obszernej biografii Rokossowskiego zostały potraktowane dość zdawkowo, bo książka jest kierowana głównie do odbiorców rosyjskich. Nie znajdziemy też jakichś nieznanych do tej pory faktów czy sensacji. Sokołow wypełnia oczywiście wiele luk w biografii marszałka, pisząc np. o wojennej kochance Rokossowskiego i nieślubnej córce, której dał swoje nazwisko. Czy też przytaczając rozmowę, w której Rokossowski informował o próbach zamachu na niego (m.in. w styczniu 1950 roku w Lublinie czy kwartał później w Poznaniu).

Większość obszernego opracowania zajmują monotonne opisy działań wojennych i militarnych sukcesów Konstantego Konstantynowicza (skądinąd ta translatorska maniera przywoływania otczestwa drażni w języku polskim). Nie jest to – przynajmniej w tej części – lektura lekka, łatwa i przyjemna, zwłaszcza że – dla młodszych czytelników – język to zupełnie obcy. Te wszystkie „transzeje”, „eszelonny”, „rubieże” i „przyczółki” nie zachęcają z pewnością do lektury. Wychwyciłem też sporo językowych potknięć, które w polskiej wersji brzmią wręcz karykaturalnie. Sformułowania „na poziomie korpuśnym”, „zielenizna”, „port daniżski” (chodziło o port gdański) czy znaczną część rusycyzmów można było na pewno poprawić na poziomie redakcyjnym, zabrakło jednak czujności. „Rewolucyjnej” – chciałoby się w tym miejscu dodać, bo pozostalibyśmy w poetyce samego Rokossowskiego, który na propozycję „nie do odrzucenia” Stalina: „trzeba, abyście stanęli na czele armii Polski Ludowej”, miał odpowiedzieć: „Jestem żołnierzem i komunistą. Jeśli taka jest wola kierownictwa naszej partii i rządu, jestem gotów pojechać”.

Książkę Sokołowa każdy historyk i pasjonat zajmujący się tym okresem powinien jednak przeczytać. Trudno nie zgodzić się z autorem, że paradoks Konstantego Rokossowskiego polegał na tym, że w Rosji uważa się go za Polaka, a w Polsce za Rosjanina. W obu krajach raczej mu to nie pomagało. ■



**Boris Sokołow, *Rokossowski*,
Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2014,
512 s.**